Rolnik z blokady Dorohuska dostaje pogróżki. „Nadepnęliśmy komuś na odcisk”

Hubert Ojdana – rolnik z Podlasia, który zaangażował wiceministra rolnictwa do interwencji w sprawie importu ukraińskiego zboża – ma kłopoty. Od dwóch dni otrzymuje telefony i wiadomości z pogróżkami od osób z Ukrainy. – Wiele osób proponuje mi pomoc w zapewnieniu ochrony. Moja rodzina to przeżywa i nalega, żebyśmy wyjechali z kraju – mówi Wirtualnej Polsce.

Hubert Ojdana kieruje dużym gospodarstwem niedaleko Hajnówki na Podlasiu. Mówi, że w piątek rano jego pracownicy obawiali się przyjść do pracy. – **Traktuję te pogróżki poważnie**. Odebrałem telefony, w których mówiono, że przyjadą i zarżną rodzinę oraz wiele innych. Wszystko, co najgorsze. Nękają głuchymi telefonami. Dostaję też wiadomości przez komunikatory – opowiada nam rolnik.

Policja w Hajnówce potwierdziła Wirtualnej Polsce, że rolnik złożył doniesienie o otrzymywaniu gróźb. Ojdana wiąże je z ostatnimi wydarzeniami na granicy polsko-ukraińskiej. Brał udział w proteście 9 lutego oraz był uczestnikiem blokady granicy w Dorohusku. W poniedziałek wraz z innym rolnikami odkryli wagon ze spleśniałą kukurydzą, a także pociąg załadowany ziarnem rzepaku.

„Taśmy Kołodziejczaka”

Jak opisywaliśmy, rolnicy wezwali wtedy wiceministra rolnictwa Michała Kołodziejczaka do interwencji w sprawie transportów ukraińskiego zboża. Polityk przyjechał do Dorohuska i zażądał wyjaśnień od szefów PKP Cargo Connect. Spółka zasłaniała się tajemnicą handlową. Ojdana upublicznił wówczas nagranie ze spotkania wiceministra z dyrektorem kolejowej spółki.

Nagrania nazwane **„taśmami Kołodziejczaka”** wywołały oburzenie rolników: kilka nowych grup postanowiło przyjechać na granicę, aby wesprzeć blokady. – Według moich informacji był to biznes za około 500 mln zł. **Chyba komuś nadepnęliśmy na odcisk. Natomiast nie spodziewałem się, że to zajdzie tak daleko** – komentuje rolnik.

Rolnik nagłaśniał historie z blokad. „Cyrk na kółkach”

Zamieszczane relacje przyniosły Ojdanie popularność w mediach społecznościowych. Jak komentował, na granicy dzieją się tak wielkie przekręty, że okazji do zarobków pozazdrościłby słynny kolumbijski przemytnik narkotyków. „Pablo Escobar przewraca się w grobie, że można takie pieniądze zarabiać” – kpił.

„Cyrk na kółkach, dosłownie” – pada w poście Ojdany pod filmem dokumentującym, że zamiast deklarowanych materiałów sypkich na naczepie wywrotki jadącej do Ukrainy transportowano auto Ford Ranger. Innym razem zamiast kakao przewożono węgiel, a z papierami transportu humanitarnego podróżowały małże.

– Przecież ja na początku wojny przyjąłem pod dach dwie ukraińskie rodziny. Naprawdę nie rozumiem tego, jak inni mogą to robić. **Wpisali mnie na jakąś listę wrogów kraju. Ja nie mam nic do Ukraińców jako ludzi czy narodu. Bronię interesu polskich rolników** – mówi dalej.

Zwierza się, że sytuację najmocniej przeżywa jego najbliższa rodzina. Rozważają wyjazd z kraju. Ojdana chciałby uzyskać ochronę choćby na pewien czas. Inna sprawa, że telefon rolnika widniał na stronie internetowej gospodarstwa i nieprzychylni mu ludzie mogli go łatwo namierzyć.

Uczestnicy protestów na liście „wrogów Ukrainy”

Jak dowiaduje się WP, rolnikowi zaoferowało pomoc kilkoro polityków, m.in. Stefan Krajewski (PSL), Anna Gembicka (PiS) oraz Ryszard Wilk z Konfederacji. – To niedopuszczalne, aby stosowano pogróżki wobec rolników, którzy biorą udział w legalnych protestach. Będę nalegać, aby policja potraktowała to zgłoszenie bardzo poważnie – mówi nam Anna Gembicka, posłanka i była minister rolnictwa.

Ojdana, mówiąc o liście „wrogów Ukrainy”, ma na myśli portal Myrotvorec. Autorzy od kilku lat wymieniają i opisują tam osoby rzekomo wrogie Ukrainie, a sprzyjające Rosji. W notce o polskim rolniku podano jego telefon. Wcześniej na listę wrogów wpisano Rafała Meklera, przedsiębiorcę i organizatora protestów branży przewoźników. Mekler również otrzymywał pogróżki, m.in., że zabiją jego dzieci.

„Rolnicy przerabiają teraz tą samą ścieżkę, którą my przerobiliśmy. Telefony z powinszowaniami, wiadomości wesoło powiadamiające o perspektywie skrócenia życia i zwykłe obelgi” – komentował na Twitterze Mekler.

Tomasz Molga, WP

Ukraiński cukier zasypie Polskę. Decyzja UE

Wprowadzenie jednostronnego zakazu importu cukru z Ukrainy byłoby niezgodne z z unijnymi traktatami, a także z zasadami Światowej Organizacji Handlu (WTO) oraz Układem o stowarzyszeniu UE-Ukraina – poinformowało ministerstwo rolnictwa.

10 stycznia br. Krajowa Rada Izb Rolniczych wystąpiła do ministra rolnictwa w sprawie blokady importu cukru oraz innych produktów rolno-spożywczych z Ukrainy. Izby, powołując się na Krajowy Związek Producentów Buraka Cukrowego, zaznaczyły, że kontyngent importowy dla cukru z Ukrainy wynosił 20 tys. t., a po jego zawieszeniu roku gospodarczym 2022/23 wzrósł do 400 tys. ton. Ponadto Izby zwróciły uwagę, że cukier W Ukrainie produkowany jest bez zachowania standardów środowiskowych i zdrowotnych obowiązujących w UE. KRIR wniskowała o pilne podjęcie wszelkich możliwych działań na szczeblu krajowym oraz w Komisji Europejskiej mających na celu wprowadzenie embarga na ukraiński cukier.

> *Wprowadzenie jednostronnego zakazu importu cukru z Ukrainy bez zgody Komisji Europejskiej (na wzór wprowadzonego we wrześniu 2023 r. zakazu importu pszenicy, kukurydzy, rzepaku, słonecznika i niektórych innych artykułów sektora zbóż i oleistych) wiąże się z ryzykiem wszczęcia przez Komisję Europejską procedury naruszeniowej wobec Polski. Taki zakaz byłby niezgodny z unijnymi traktatami, a także z zasadami Światowej Organizacji Handlu (WTO) oraz Układem*

o stowarzyszeniu UE-Ukraina, w związku z tym mógłby zostać on zaskarżony także przez indywidualne podmioty – czytamy w piśmie MRiR podpisanym przez ministra rolnictwa Czesława Siekierwskiego opublikowanym na stronie Krajowej Rady Izb Rolniczych

Resort zwrócił uwagę, że „poza tym wprowadzenie zakazu importu cukru może również wywołać działania retaliacyjne (środki odwetowe – PAP) ze strony Ukrainy w postaci objęcia importu z Polski restrykcjami". Zaznaczono, że retaliacje mogą dotyczyć nie tylko cukru, ale również innych towarów, które są istotne dla naszego eksportu na Ukrainę (np. produkty mleczarskie).

Ministerstwo poinformowało, że obecnie w ramach toczących się dyskusji na forum instytucji unijnych dotyczących ewentualnego przedłużenia autonomicznych środków handlowych (ATM) na kolejny rok postulowane jest m.in. wyłączenie z tej regulacji towarów wrażliwych, w tym cukru.

Gdyby nie udało się przekonać KE do rezygnacji z kolejnego przedłużenia regulacji ATM lub wyłączenia z niej towarów najbardziej wrażliwych, rozważam wystąpienie do KE w sprawie zastosowania klauzuli ochronnej w momencie wejścia w życie regulacji ATM, celem przywrócenia warunków taryfowych (TRQ) wynikających z Układu o Stowarzyszeniu UE-Ukraina- napisał minister Siekierski.

Dodał, że jednak, aby taki wniosek miał szanse powodzenia, należy wykazać nie tylko fakt wzrostu importu, ale również szkodę rynkową powodowaną przez import (np. wzrost zapasów czy spadek cen i dochodów). „Dlatego też proszę KRIR o dostarczenie w miarę posiadanych możliwości dodatkowych danych potwierdzających wyrządzenie szkody dla polskich plantatorów i producentów cukru" – zaznaczył Siekierski.

Odnosząc się do kwestii braku zachowania przez producentów

ukraińskich norm środowiskowych i zdrowotnych obowiązujących w UE, MRIRW poinformowało, że „wystąpiło o uzupełnienie załącznika V do umowy DCFTA UE-Ukraina o listę aktów prawnych UE dotyczących stosowania pestycydów”. Wyjaśniono, że spowodowałoby to zarówno stosowanie przez Ukrainę środków ochrony roślin, zawierających te same substancje czynne, które są dopuszczone w UE, jak również przestrzeganie takiego samego zakresu ich stosowania. W konsekwencji zapewnione zostałyby równe warunki konkurencji z towarami wytwarzanymi w UE i podlegającymi obowiązkowi przestrzegania unijnych standardów, jak i bezpieczeństwo dostaw towarów pochodzących z Ukrainy.

PAP

Cała Unia omija swoje sankcje na Rosję

Bezpośrednia sprzedaż mocno spadła, ale wyraźnie wzrósł eksport do Azji Centralnej i na Kaukaz.

Kraje Unii Europejskiej po rosyjskiej agresji na Ukrainę z jednej strony nakładają na Moskwę **kolejne sankcje**, ograniczając możliwości eksportu towarów na tamtejszy rynek, a z drugiej – firmy z państw UE te sankcje obchodzą, sprzedając swoje wyroby do państw sąsiadujących z Rosją, skąd

prawdopodobnie trafiają one na zakazany rynek. Do takiego wniosku prowadzi analiza danych na temat obrotów handlowych z takimi państwami, jak **Azerbejdżan, Kazachstan czy Kirgistan.**

Kilka dni temu o sprawie przypomniał Robin Brooks, główny ekonomista Instytutu Finansów Międzynarodowych, globalnego stowarzyszenia branżowego z siedzibą w Waszyngtonie. Na tapetę wziął nasz kraj. „Polski eksport do Kirgistanu zwiększył się o 1900 proc. od czasu inwazji Rosji na Ukrainę. Nie ma możliwości, żeby te towary były przeznaczone do krajowego użytku w Kirgistanie. Oczywiście trafiają do Rosji, gdzie pomagają utrzymać w ruchu wojenną gospodarkę Putina. UE przymyka na to oko…" – napisał w serwisie X.

Więcej >>

Wojna gospodarcza z Polską trwa. Kto chce zniszczyć polskich rolników?

Poziom dezinformacji na temat rolnictwa i na temat żywności jest niewyobrażalny. Ktoś może powiedzieć, że popełniono błąd, że przekazano jakąś nie do końca sprawdzoną informację, albo celowo podkręcono tytuł, żeby wywołać mini-sensację. Otóż nie, szanowni Państwo! Mamy do czynienia z wojną gospodarczą, w której nie ma miejsca na jakiekolwiek sentymenty, półśrodki i

***litość* – mówi w rozmowie z PCh24.pl Monika Przeworska, dyrektor w Instytucie Gospodarki Rolnej.**

W ubiegłym roku przez wiele tygodni media lewicowo-liberalne alarmowały, że chleb będzie po 30 zł, kiełbasa po 100 zł, cukier po 200 zł, a pozostałych produktów spożywczych po prostu nie będzie. Z drugiej strony niemal codziennie minister Kowalczyk zapewniał, że zbiory są rekordowe i żywności na pewno nie zabraknie. W tym roku cisza jak makiem zasiał. Czy Polska jest bezpieczna, jeśli chodzi o żywność?

W tym roku cisza, bo na tradycyjnej polskiej wsi praca jak zawsze wrze. Cały rok 2023 był dla polskich rolników niezwykle intensywny i naprawdę ciężki.

Postaw kawę

Przede wszystkim za nami sezon wielu podwyżek, jeśli chodzi o ceny środków do produkcji żywności, a jednocześnie sezon rekordowych spadków, jeśli chodzi o ceny zbytu na produkty rolno-spożywcze. Ogniwem najbardziej poszkodowanym; ogniwem, któremu nie wiodło się zbyt dobrze; ogniwem, które można uznać za najbardziej poszkodowane w całym systemie gospodarczym jest niestety po raz kolejny rolnik, ale dzięki wykonanej przez niego pracy; dzięki temu, co faktycznie zostało w Polsce zrealizowane możemy śmiało powiedzieć, że bezpieczeństwo żywnościowe Polaków jest zabezpieczone.

W ostatnich kilkunastu miesiącach mieliśmy znaczny wzrost cen żywności. Wpłynęło na to kilka czynników. Po pierwsze inflacja jest, jaka jest, ale po drugie: wzrost cen żywności nie jest dyktowany cenami produktów rolno-spożywczych tylko innymi narzutami, które ostatecznie składają się na cenę żywności zakupywanej przez nas w sklepie.

To, że w sklepach możemy kupować jedzenie to zasługa polskich

rolników, którzy wykonali swoją pracę bardzo dobrze. Niestety w wielu przypadkach nie zarobili, tylko wyszli na zero, a czasami wręcz musieli dokładać do interesu. Na szczęście obserwowaliśmy sporo działań pomocowych skierowanych do polskich rolników, które wielu ludziom żyjącym z uprawy i hodowli pomogły.

Często panuje przeświadczenie, że rolnictwo to proste zajęcie, bo wystarczy wyjść na pole, coś tam zasiać, potem leżeć kilka miesięcy jak będzie rosło, zebrać i zarabiać na sprzedaży. No niestety wygląda to zupełnie inaczej i nie jest tak różowo. W ostatnim czasie mieliśmy sporo materiałów na temat polskiego rolnictwa w mediach. Mam nadzieję, że coraz więcej osób zdaje sobie sprawę jak bardzo skomplikowanym mechanizmem i jak skomplikowanym organizmem jest rolnictwo, a co za tym idzie mniej osób będzie powtarzać, jak rolnik ma dobrze. Po drugie: wraz z coraz większą świadomością społeczną na temat pracy rolnika większość powinna zrozumieć, że negatywne i czarne scenariusze, jakimi byliśmy bombardowani w ubiegłym roku są póki co nierealne. Wzrostu cen żywności, jaki był zapowiadany, czyli chociażby chleba za 30 zł nie będzie i nie ma sensu się nakręcać tego typu wypowiedziami. Niemniej jednak w perspektywie kilkunastu najbliższych lat musimy zacząć inaczej patrzeć na żywność, bo niestety będzie ona drożeć. Nie lawinowo, ale powoli i systematycznie, a główną przyczyną nie będą zarobki samych rolników, tylko przede wszystkim wzrost kosztów produkcji, a tenże wzrost będzie spowodowany sytuacją geopolityczną i prowadzoną przez UE polityką rolno-klimatyczno-środowiskową.

Zdrowa, konwencjonalna żywność produkowana nawet nie w tzw. eko-gospodarstwach, tylko w normalnych, konwencjonalnych gospodarstwach w najbliższych latach będzie drożeć i w związku z tym politycy niezależnie od opcji politycznych powinni zastanowić się jak wspierać rolników, żeby żywność oferowana w sklepach w Polsce była produkowana na miejscu, bo to stanowi o naszym bezpieczeństwie żywieniowym.

Wszyscy pamiętamy jak wyglądał świat, kiedy zaczęła się tzw. pandemia koronawirusa, kiedy łańcuchy dostaw w wielu przypadkach się urwały, kiedy nie wszystkie dostawy były realizowane. Doskonale wiemy jak wyglądały niektóre państwa, które nie są tak bezpieczne żywnościowo jak Polska i nie stoją tak silnie rolnictwem jak my. U nich przez wiele tygodni sklepy świeciły pustymi półkami. U nas na szczęście czegoś takiego nie było i mam nadzieję, że nigdy nie będzie.

Generalnie zgadzam się z Panią, że w tym przypadku działania pomocowe ze strony rządu są jak najbardziej na miejscu. Pytanie tylko, czy takie coś wystarczy? Dlaczego nie podjęto rozwiązań systemowych? Podam przykład: w jednej sieci handlowej na początku tygodnia mleko 3,2 proc. kosztowało 4,49 zł. W połowie tygodnia ogłoszono promocję i to samo mleko kosztowało 2,49 zł. Przepraszam, ale za ile w związku z tym jest kupowane mleko od rolnika, skoro sieci handlowej opłaca się zejść z ceny niemal 50 proc. i dalej zarabia na sprzedaży?

W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z ogromną zmianą, ze swego rodzaju transformacją na rynku żywności. Nie jest już tak, że najważniejszy jest rynek pośredników, że to oni dyktują ceny i najwięcej zarabiają. Obecnie najważniejszy jest rynek sieci handlowych. Sieci handlowe chwytają się niestety wielu bardzo nieuczciwych praktyk.

Postaw kawę

Sytuacja bardzo często wygląda tak, że do producenta żywności przychodzi przedstawiciel sieci handlowej i mówi, że może kupić dany produkt za tyle i tyle i ani grosza więcej. Producent żywności musi się dostosować do tej ceny i poinformować rolnika, ile jest mu w stanie zapłacić za dostarczony do skupu surowiec. W związku z tym, że handel w Polsce wygląda tak, że to wielkie sieci handlowe są głównym

operatorem największego wolumenu produktów rolno-spożywczych i przetworów rolno-spożywczych sprzedawanych w Polsce, to niestety ale ich działania mają ogromny, a nawet decydujący wpływ, jak wygląda sytuacja na rynku.

Najbardziej poszkodowany w tym wszystkim jest rolnik, ponieważ on na tym wszystkim najbardziej traci. Z jednej strony konsument może powiedzieć: „Przecież rolnik zarobił na towarze, bo ja go kupiłem”. Niestety, ale często zdarza się tak, że ów zarobek jest mniejszy niż koszty produkcji.

Tutaj ma Pan rację – potrzeba systemowych rozwiązań zarówno dla rolników jak i dla przetwórców żywności. Jeden i drugi powinni grać do jednej bramki i wiedzieć, że po ich stronie stoi państwo, które nie pozwoli na dyktat zagranicznych sieci handlowych.

Prawo i Sprawiedliwość zapowiadało tzw. ustawę hiszpańską, która definiowała, że nie można kupić od rolnika produktu za cenę rażąco poniżej kosztu wyprodukowania, a tak się niestety działo. Rolnicy dokładali i dokładali aż w końcu, po kolejnym sezonie nie mieli z czego dokładać. „Ustawa hiszpańska” była zapowiadana, była dostosowana do polskich warunków, ale ostatecznie jeszcze nie trafiła pod sejmowe głosowanie i jestem strasznie ciekawa, czy Sejm nowej kadencji będzie ją procedował. Marszałek Hołownia zapowiedział, że nie będzie zamrażarki i wszystkie ustawy składane do laski marszałkowskiej będą procedowane. Mam więc nadzieję, że słowo zostanie dotrzymane i ustawa broniąca polskich rolników będzie procedowana.

Ja jednak się boję, że nawet jeśli taka ustawa wejdzie w życie, to wiele się nie zmieni. Wystarczy sobie bowiem przypomnieć kary liczone w setkach milionach złotych jakie Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta nakładał na zagraniczne sieci handlowe m. in. za oszukiwanie polskich rolników. I co? I nic…

I dalej im się opłaca…

No właśnie… Boję się, że nawet zmiana reguł gry nic w rzeczywistości nie zmieni…

W pierwszej kolejności „chapeau bas” dla UOKiK-u za to, że w ogóle nałożył kary dla zagranicznych sieci handlowych i to kary rekordowe, co przez lata było wręcz nie do pomyślenia. To też pokazuje o jakich w ogóle pieniądzach mówimy. Każdy z nas, gdy słyszy, że jakaś sieć handlowa ma zapłacić kilkaset złotych kary i nie stanowi to dla niej jakiegoś większego problemu, to może zdać sobie sprawę ze skali tego jak wiele na tych nieuczciwych praktykach można zarobić. Gdyby się to nie opłacało, to nikt by przecież tego nie robił i nie ryzykowałby, że będzie musiał zapłacić wielomilionową karę.

Czasem myślę, że być może te kary są jeszcze za niskie, bo przecież w poczuciu sprawiedliwości kara powinna być adekwatna i odstraszać. Skoro nie odstrasza, to może trzeba ją zwiększyć…

Nie zmienia to jednak faktu, że rozwiązania systemowe są potrzebne od zaraz i w połączeniu z wychwytywaniem nieuczciwych praktyk handlowych uda się zmienić ten mętny, żeby nie powiedzieć szemrany system.

Pozwolę sobie teraz na złośliwość: ile osób zginęło od zboża technicznego z Ukrainy, które według samozwańczych ekspertów od rolnictwa miało zawierać toksyny, cyjanek i materiały promieniotwórcze? Miały zginąć miliony…

Problemów ze zbożem technicznym było bardzo dużo i nadal jest bardzo dużo. Nie oszukujmy się – był to wytrych do tego, żeby ściągać do Polski tanie zboże z Ukrainy…

Tak, ale chyba zgodzi się Pani ze mną, że to był prawdziwy problem – szukanie kruczków prawnych, żeby ściągać do Polski miliony ton taniego zboża z Ukrainy. Niestety z poważnego problemu, czyli wwożeniu do Polski zboża z Ukrainy zrobiono

hucpę opowiadając coś o toksynach i materiałach rozszczepialnych…

Niestety… Poziom dezinformacji na temat rolnictwa i na temat żywności jest niewyobrażalny. Ktoś może powiedzieć, że popełniono błąd, że przekazano jakąś nie do końca sprawdzoną informację, albo celowo podkręcono tytuł, żeby wywołać mini-sensację. Otóż nie, szanowni Państwo! Mamy do czynienia z wojną gospodarczą, w której nie ma miejsca na jakiekolwiek sentymenty, półśrodki i litość.

Czytając o tym, co dzieje się na polskiej wsi, w jakich warunkach jest produkowana żywność, w jakich warunkach są przetrzymywane (niczym zakładnicy) są zwierzęta, to włos się na głowie jeży. Niewielu jednak decyduje się na to, aby medialne sensacje zweryfikować i sprawdzić, jakie są fakty. Bez tej weryfikacji łatwo rzucać oskarżenia i ogłaszać kolejne bojkoty polskiej żywności czy produktów pochodzenia zwierzęcego wytwarzanych na terytorium Polski, bo ponoć w innych krajach jest lepiej i bezpieczniej, co przecież nie jest prawdą.

Taka perfidna dezinformacja, tak perfidne manipulowanie informacjami to nic innego jak wojna gospodarcza, a taka wojna gospodarcza jest przeciwko nam prowadzona. Polska jest jednym z największych w Europie producentów żywności. W wielu obszarach jesteśmy liderami. Produkcja zbóż, produkcja mleka, produkcja drobiu, produkcja jaj, czy nawet produkcja futer – wszystkie sektory, które w jakikolwiek sposób kojarzą się z rolnictwem i doskonale sobie radzą są z różnych stron atakowane.

Często obserwujemy w mediach, że nijak ma się to do stanu rzeczywistego i do prawdy. Wielokrotnie apelowaliśmy jako Instytut Gospodarki Rolnej do wszystkich, którzy zabierają głos i mówią na temat bezpieczeństwa żywnościowego, czy też na temat jak wygląda rolnictwo w Polsce, żeby ważyli słowa, bo to naprawdę nie są żarty. Negatywne i jednocześnie fałszywe

opinie bardzo często przekładają się na wybory konsumenckie.

Wracając do kwestii zboża technicznego. Nic mi nie wiadomo, żeby ktokolwiek się zatruł bądź miał problemy ze zdrowiem. Wszyscy od początku mówiliśmy, że problemem jest niekontrolowany napływ ukraińskiego zboża do Polski i z tym trzeba walczyć. Takie zboże zagrażało polskim rolnikom, a nie konsumentom.

Postaw kawę

Polscy rolnicy chcieli dbać o swoje interesy za co byli atakowani z niemal każdej strony. Ukraińcy krzyczeli, że polscy rolnicy chcą ich zniszczyć. W Brukseli krzyczano, że polscy rolnicy łamią unijne traktaty. Nasi rodzimi liberałowie krzyczeli, że będą cierpieć konsumenci, a poza tym, po co w Polsce rolnictwo, skoro jest na Ukrainie…

Najgorszy był jednak atak dwóch sprzymierzeńców – Unii Europejskiej i Ukrainy. O ile dobrze pamiętam to Polska jest częścią UE, a nie Ukraina i to nas powinna bronić Bruksela, a nie Ukrainę. Patrząc jednak na to, co robi Bruksela odnoszę wrażenie, że to Ukraina jest częścią UE, którą Bruksela broni przed jakimiś warchołami znad Wisły.

OK, wszyscy rozumiemy, że Ukraina została zaatakowana przez Rosję, że sytuacja jest ekstra ordynaryjna, że Ukraina potrzebuje pomocy, ale prawda jest taka, że działania podjęte przez UE dążyły do tego, że Polska za chwilę nie miałaby pieniędzy na własne funkcjonowanie. Ciężko w ogóle podchodzić do tej sprawy bez emocji. Wielu z nas czuje się oszukanych, bo tak wiele zrobiliśmy dla Ukraińców, a oni tak nam za to wszystko „dziękują”.

W ostatnim czasie do protestu przewoźników na granicy z Ukrainą dołączyli rolnicy. Tutaj znowu z jednej strony wszyscy

mówią, że Ukrainie trzeba pomagać. Szkoda, że nikt nie chce prześledzić o co tak naprawdę chodzi i o co Polacy walczą, a dopiero potem zabierać głos. Powiem szczerze: kiedy słyszę od polityków z różnych stron, że ludzie, którzy protestują na przejściach granicznych z Ukrainą i starają się wywalczyć dla sektora transportu inne warunki współpracy z Ukrainą są sabotażystami to robi mi się słabo. To szalenie nieodpowiedzialna postawa, bo patrząc na dokumenty źródłowe, na to jak faktycznie sytuacja wygląda i na to w jakiej sytuacji znajdują się obecnie polscy przewoźnicy to naprawdę nie wiem jak można było doprowadzić do takiej sytuacji.

Lista sektorów zagrożonych, bądź będących w bardzo trudnej sytuacji nie jest krótka i tych problemów w najbliższych tygodniach i miesiącach będzie raczej przybywać niż ubywać. Tutaj wracamy znowu do tego, że to Bruksela ma takie, a nie inne kompetencje, ale my też musimy prowadzić dużo bardziej skuteczną politykę, żeby lepiej dbać o nasze interesy i interesy naszych obywateli.

Źródło

Postaw kawę

Rosyjski gaz wciąż w Europie?

Bruksela nie osiągnęła swojego celu: embarga na import gazu z Rosji. Pomimo tego, jest on wypychany z Europy na różne sposoby. Dziwne, że jeszcze do niej dociera. Jak wygląda mapa obecności rosyjskiego gazu na Starym Kontynencie?

Europa w ubiegłym roku obniżyła import rosyjskiego gazu, sprowadzając rurociągami zaledwie 62 miliardów m3 gazu (wobec 140 miliardów w 2021). W tym ma być to zaledwie 40-45 mld m3. I to łącznie z LNG.

Rosyjski metan powoli znika więc z europejskiego krajobrazu energetycznego, jak zniknęły już ropa, paliwa i węgiel. Jednak nie wszędzie proces ten przebiega tak samo – gazowe rurociągi z Rosji do Europy, im bardziej na północ, tym mocniej zamrożone, im dalej na południe, tym goręcej działają. Najbardziej północny – niewielki rurociąg do Finlandii – został zamknięty po operacji „gaz za ruble" (Gaz za ruble, kto przegrał? | Myśl Polska (myslpolska.info)

Największe gazowe rurociągi świata – Nord Stream 1 i 2 przez Bałtyk – zostały wysadzone. Mogły przesyłać 110 miliardów m3/rok. I choć jedna z czterech nitek jakimś cudem ocalała, to nic nią nie płynie. Co prawda prezydent Putin co pewien czas powtarza publicznie ofertę dostaw, twierdząc, że gaz może popłynąć następnego dnia, „wystarczy odkręcić zawór". Ale Niemcy dumnie mówią „nie". Ta duma bierze się stąd, że Ameryka trzyma ich mocno za gardło i wybija z głowy pomysły współpracy gospodarczej z Rosją.

Polski „Jamał" (33 mld m3/r) najpierw osuszyliśmy przez odmowę płacenia w rublach, potem zarekwirowaliśmy rosyjską część własności w EuRoPolGaz. Jako retorsje Rosja nałożyła sankcje –

zakazała wszelkich interesów z właścicielem. Więc stoi pusty. Paradoksalnie, bardziej na południe pracuje rurociąg przez Ukrainę. To państwo toczące wojnę z Rosją, przesyła jej gaz i pobiera za to opłaty. Nie tylko gaz, także i ropę. Co prawda mogło płynąć dwa razy więcej gazu, ale płynie tylko 14 mld m3/rok.

Południowa część Starego Kontynentu trzyma się znacznie silniej rosyjskiego gazu niż północna. Tak Austria, Słowacja jak i przede wszystkim Węgry – twardo się trzymają tego dostawcy. Tutaj gaz dochodzi także przez Turcję, do której z Rosji prowadzą dwa rurociągi. Błękitny Potok, przesyłający 16 mld m3/rok, a także Turecki Potok, którego dwie nitki po 15,75 mln m3/r zaopatrują także południową Europę. I pracują ciężko, choć ostatnio wyrosła im nowa, niespodziewana bariera. Bułgaria, sama nie importując rosyjskiego gazu (jako jedna z nielicznych posłuchała wezwań Brukseli, by nie płacić za gaz w rublach), przyłączyła się dość oryginalnie do sankcji. Z dnia na dzień, 13 października, nałożyła podatek na tranzyt rosyjskiego gazu do Serbii i na Węgry. To ~47 zł/MWh przy cenie gazu 235 zł, czyli 20% ceny. To znacznie więcej niż przyjęte kilka małych procent opłat przesyłowych. Wcześniej wydawało się to niemożliwe, wręcz niesłychane, by można było nałożyć cła na tranzyt wewnątrz Unii. A dzisiaj można…

Jak widać, część Europy ciągle trzyma się rurociągów z Rosji, ale nowe europejskie rynki zdobywa rosyjski gaz skroplony (LNG), którego w ostatnim półroczu EU kupiła o 40% więcej. Procentowo to imponujące, ale ilościowo to niewiele – w ’21 import wyniósł zaledwie 13,5 mld m3, w ’22 dużo więcej – 19,3 mld, a w pierwszej połowie bieżącego – 10,8 mld.

Ale jednak LNG dociera, i aż 37% z tych dostaw odbiera Francja, chętnie kupują go Hiszpania (18% rosyjskiego eksportu LNG) czy Belgia – 17%. Dla porównania – Chiny odbierają 20%. To zupełnie nowe rynki, gdyż jeszcze w 2021 r. Rosja w Belgii się nie liczyła (7. miejsce wśród dostawców LNG), podobnie jak w Hiszpanii (5. miejsce). Tę ostatnią rosyjski gaz uratował

przed kłopotami, gdy niepokoje w Afryce Zachodniej spowodowały przerwanie dostaw z Algierii. I to z czysto politycznych powodów – Hiszpania wycofała bowiem swoje poparcie dla Algierii w sprawie Sahary Zachodniej, Algier więc, po ostrzeżeniu (nie pomogło), przekierował swoje dostawy do Włoch. Jak widać rosyjski gaz czasami ratuje inne państwa przed ich energetycznymi problemami, czego zupełnie nie widać z naszego miejsca na mapie.

Pomimo tego wszystkiego Europa to wciąż najbardziej dochodowy rynek dla Gazpromu. W ubiegłym roku uzyskiwał on niewiarygodnie wręcz wysokie ceny (984 dolary za 1000m3). W bieżącym roku wygląd na to, że cena będzie około 500 dolarów, gdy gaz dla Chin kosztuje 300 USD. Kurczący się, o zróżnicowanej geografii, ale bardzo dochodowy rynek europejski – tak podsumujmy ten przegląd.

Andrzej Szczęśniak

Ukraina w UE to szaleństwo

Opozycyjna prawicowa Austriacka Partia Wolności (FPÖ) wezwała władze do zawetowania akcesji Ukrainy do UE, pisze dziennik „Exxpress". Jej lider, Herbert Kickl (na zdjęciu), nazwał to posunięcie „aktem politycznego szaleństwa", ponieważ może sprowokować zaangażowanie Austrii w konflikt zbrojny.

Zamiar przyjęcia do Unii Europejskiej państwa, które jest

uwikłane w szalejący konflikt zbrojny, jest podpisaniem absolutnego szaleństwa" – napisał **Harald Wiliński**, parlamentarzysta z ramienia Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ), na swoim koncie Platforma X (dawniej Twitter). Jego słowa były echem żądania lidera partii, **Herberta Kickla,** który zażądał, aby rząd, działając przede wszystkim „w interesie zapewnienia bezpieczeństwa własnego narodu i opierając się na trwałej neutralności Austrii, zrobił wszystko, co możliwe, aby zapobiec tej nieodpowiedzialnej i awanturniczej inicjatywie".

Kickl ostrzegł, że zamiast próbować za wszelką cenę włączyć Ukrainę do UE, Europa „powinna wykorzystać swoją energię, aby znaleźć sposoby na jak najszybsze rozwiązanie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego i ustanowienie trwałego pokoju". Dodał również, że są to „dokładnie te kwestie, które są już dawno zdezaktualizowane. Wręcz przeciwnie, europejskie elity polityczne robią dokładnie odwrotnie: zaciskają uścisk sankcji i uwalniają miliardy wyciągnięte z kieszeni europejskich (w tym austriackich) podatników na zakup broni dla Ukrainy pod cynicznym pretekstem, że „przyczyni się to do osiągnięcia pokoju". Oczywiście, w ten sposób tylko „dolewają oliwy do ognia, a w końcu nie otrzymają nic poza kolejnymi ofiarami w ludziach".

Kickl powiedział, że parlamentarzyści FPÖ zamierzają przedłożyć rządowi Austrii odpowiednie żądanie do przedyskutowania na najbliższym posiedzeniu Rady Federalnej. Jeśli zostanie zatwierdzona, Austria będzie musiała zawetować przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej.

Lider FPÖ uważa, że kierownictwo Austrii, podejmując taką czy inną decyzję, nie powinno „bezkrytycznie i radośnie zgadzać się z każdym absurdalnym żądaniem Brukseli, ale przeciwnie, zawsze uważać dobrobyt, bezpieczeństwo i interesy własnego społeczeństwa za swój główny priorytet. Dotyczy to w szczególności daleko idących decyzji, takich jak przystąpienie Ukrainy do UE, które będą miały dla Austrii nieprzewidywalne konsekwencje, nie tylko w sferze bezpieczeństwa, ale także

finansowej. **Z wyliczeń Komisji Europejskiej wynika, że przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej będzie kosztować 186 mld euro.** Koszt odbudowy Ukrainy po konflikcie szacowany jest na 750 mld euro. Ciężar ten spadnie przede wszystkim na barki obywateli europejskich państw-darczyńców, takich jak Austria, a to jest w żaden sposób nie do przyjęcia dla naszego społeczeństwa, które już teraz cierpi z powodu wygórowanych podatków, które pobiły rekordowe poziomy z powodu politycznych niepowodzeń koalicji „czarno-zielonych".

Oczekuje się, że szefowie 27 państw członkowskich UE zatwierdzą kontrowersyjny plan przystąpienia Ukrainy do UE na posiedzeniu w grudniu przyszłego roku. Przy przyjmowaniu nowego kraju do UE należy przestrzegać zasady jednomyślności wszystkich członków.

Źródło

Jak rosyjska ropa umknęła nagonce

Zachód przystąpił do polowania na grubego zwierza. Na największego światowego eksportera ropy i paliw. Chciał uczynić Rosję naftowym pariasem, którego nie przyjmuje na salonach. I któremu przede wszystkim odbiera się pieniądze.

Po wybuchu ukraińskiej wojny, Ameryka przystąpiła do wojny

handlowej z Rosją. Wprowadziła błyskawicznie embargo na import rosyjskiej ropy, to samo zaleciła Europie. Ta wykonała polecenie, choć szło to boleśnie i długo. Później nastąpił kolejny etap odbierania Moskwie dochodów z eksportu. Zachód wprowadził „pułap cenowy" – zakaz kupowania i transportu ropy rosyjskiej powyżej pewnej ceny (na początek ustalono ją na 60 USD). Głównym wykonawcą tego zlecenia były europejskie floty tankowców, banki, ubezpieczyciele. Tak rozpoczęło się polowanie na rosyjską ropę po całym świecie. Miało ono zagłodzić niedźwiedzia, a jakie przyniosło efekty?

Warto wspomnieć, że to polowanie na grubego zwierza: w 2021 r. Rosja wydobyła 13% światowej ropy (536 mln ton), więcej wydobyły tylko Stany (711 mln). Wyeksportowała z tego 264 mln ton ropy (13% globalnego eksportu), a produktów 150 mln ton (12%).

Rosja na samym początku została uderzona finansowo, po pierwsze zabraniem jej pieniędzy złożonych w zachodnich bankach, po drugie rosyjska ropa była wyceniana o 25-35 USD na baryłce taniej niż Brent. To dla budżetu rosyjskiego miesięczne straty rzędu 2 miliardów dolarów. Wszyscy chcieli zarobić na zagonionym do narożnika eksporterze. Rosyjska strategia utrzymania rynku i dochodów miała swoją cenę i kazali ją sobie płacić tak nabywcy – obniżając cenę zakupu, jak i wszyscy po drodze – transport, podwyższający piekielnie opłaty za przewóz, i ubezpieczyciele, którzy windowali w górę stawki, o ile w ogóle chcieli ubezpieczyć cargo. A bez tego – nie wejdziesz do żadnego portu. A wcześniej, latami różnica między rosyjską ropą a globalną ceną Brent wynosiła zaledwie 1,5 dolara.

Jedną ścieżką ucieczki niedźwiedzia przed nagonką były układy państwowe z państwami Azji, gdzie Rosja przekierowała dostawy, głównie do Indii i Chin. Zachód naciskał, by nie kupowali, ale te nie podporządkowały się. Jak zadeklarował Hardeep Singh Puri, minister ds. ropy, „Indie są suwerennym państwem i egzekwują swoje prawo zaopatrywania się w ropę tam, gdzie ceny

są najkorzystniejsze”. Ten model się rozwija – właśnie ruszają rosyjskie dostawy do Pakistanu, gdzie można dostarczyć kilka milionów ton ropy rocznie, a rozliczane będą w walutach „krajów zaprzyjaźnionych”. W ten sposób powstanie jeszcze jedna drobna kreska na diamentowej kolumnie dominacji dolara w światowym handlu, dającej bogactwo i władzę Ameryce.

Ale nie tylko państwa, także biznes. Ktoś mający wystarczająco dużo odwagi i sprytu, no i zasobów oczywiście, może w takiej sytuacji niezwykle się wzbogacić. I właśnie w szarej strefie globalnego ładu, mieści się pewna część odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że ten potężny Zachód, skupiający ponad 60% światowego bogactwa przeciwko Rosji, nie mógł zagonić niedźwiedzia do narożnika tam, gdzie to najważniejsze – w światowym handlu ropą?

Jak tylko zaczęto mówić o sankcjach, rozpoczął się ruch w interesie w handlu tankowcami. Kupowali je Rosjanie (nie zawsze rejestrowani w Rosji), ale także Emiraty, Indie, Bliski Wschód i Azja, nie kryjąc nawet, że to dla przewozu rosyjskiej ropy. Run na tankowce był potężny, szybko sprzedawano Suezmaxy, Aframaxy, tankowce klasy MR. Przed wojną 70% morskiego eksportu rosyjskiej ropy było obsługiwanych przez kraje zachodnie (dzisiaj: niedrużestwiennyje), a niecałe 20% obsługiwały rosyjskie statki i instytucje. Teraz krajobraz wygląda zupełnie inaczej: kraje nieprzyjazne dalej obsługują 40% przewozów, Emiraty 15% i Chiny 13%. Reszta (jedna trzecia) to firmy rosyjskie albo nieznanej własności. To oczywiście zwiększa koszty transportu i eksportu, ale przy coraz większej własnej flocie, coraz więcej też zarabiają na tym Rosjanie, a coraz mniej – Zachód**. Floty europejskie, które przewoziły wcześniej 2/3 rosyjskiej ropy, biorąc udział w tej nagonce, utraciły już prawie połowę przewozów.**

Malowniczą, taką prawie piracką, ścieżką wyślizgiwania się niedźwiedzia z obławy było szmuglowanie rosyjskiej ropy i produktów. Zaczynało to się zwykle od wyłączenia transpondera (UKF) systemu AIS, umożliwiającego lokalizację tankowca. Potem

odbywała się operacja STS (ship-to-ship), czyli przeładunek towaru na morzu. Przy rosyjskich portach eksportowych po wejściu w życie sankcji utworzyły się huby przeładunków morskich. Ekspansja zjawiska jest zaskakująca, jeśli na Morzu Śródziemnym jesienią nie przeładowywano jeszcze nic, a w lutym ’23 przeładunki przekroczyły 22 miliony baryłek. To 20 dużych Aframaxów, to 15% całego rosyjskiego eksportu. Takie centra przeładowcze utworzyły się błyskawicznie przy wybrzeżach Grecji, Malty, Gibraltaru, tak jak kilka lat wcześniej dla obsługi szarego eksportu wenezuelskiej i irańskiej ropy powstały przy emiratach, Omanie czy Malezji.

Sprawność rosyjskich nafciarzy zadziwiła, o jej efektach już w najbliższym numerze Myśli Polskiej.

Andrzej Szczęśniak

UE przed sztormem, czyli prawie jak chińskie „zero COVID”… Idzie katastrofa

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej zamieniła się w coś na kształt chińskiego „zero Covid”. Jednak może ona zaowocować większą klęską niż obecna – cicha kapitulacja Pekinu.

Przez trzy lata **komunistyczne** **Chiny** twardo trzymały się

strategii ani kroku wstecz, jeśli idzie o obostrzenia sanitarne. Totalitarne państwo zbudowało imponującą machinę pozwalającą: testować, kontrolować i izolować obywateli, gdy tylko pojawiło się choć najmniejsze ognisko epidemii. Kiedy reszta świata, z bardzo nielicznymi wyjątkami utraciła zupełnie kontrolę nad szerzeniem się kolejnych mutacji koronawirusa, Pekin mógł się szczycić, iż panuje nad sytuacją.

„Zero COVID”

Jeszcze w połowie października **prezydent** **Xi Jinping** podczas przemówienia inaugurującego XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin, potwierdził utrzymanie **strategii „zero COVID”**. Niedługo potem w kraju pojawiły się symptomy buntu. Dotąd wzorowo zdyscyplinowani Chińczycy mieli dość lockdownów. Na dodatek za sprawą obostrzeń sanitarnych coraz większe perturbacje groziły gospodarce Państw Środka. Miesiąc po XX Zjeździe prezydent Xi uznał swą porażkę w zmaganiach z epidemią i de facto zgodził się na cichą kapitulację. Restrykcje sanitarne zaczęto zawieszać, masowe testowanie obywateli dobiegło końca i epidemia rozlała się po cały kraju. Jaka jest obecnie liczba chorych i zmarłych nie wiadomo, bo komunistyczne władze wręcz otwarcie fałszują statystyki. Szczątkową wiedzę można czerpać z nielicznych filmów przenikających do Internetu, ukazujących przepełnione szpitale oraz domy pogrzebowe. Tak oto chińskie społeczeństwo będzie musiało przejść wszystko to, czego ludzie w Europie i na innych kontynentach doświadczyli wcześniej. A na dokładkę wymęczono je restrykcjami niespotykanymi nigdzie indziej. Jednocześnie chińską gospodarkę, po wstrząsach związanych z lockdownami czekają teraz zawirowania, jakie niesie ze sobą kumulacja zachorowań.

Ta opowieść byłaby jeszcze ciekawsza, gdyby pojawiły się wiarygodne dane, co do wskaźnika śmiertelności w Chinach na milion mieszkańców. Wówczas łatwiej byłoby ocenić, na ile Pekinowi opłacił się olbrzymi wysiłek włożony w trzy lata zmagań ze epidemią. Niestety, rzetelne oszacowanie kosztów:

społecznych, ekonomicznych i politycznych „zero COVID” nie jest możliwe. Acz można mieć uzasadnione podejrzenia, iż cała strategia przyniosła o wiele więcej strat niż zysków, o czym najlepiej świadczy jej nagłe porzucenie.

Chiny same na siebie zastawiły pułapkę

Pułapka, jaką same na siebie zastawiły Chiny, nosiła wszelkie znamiona racjonalności. Ich władze w sposób wzorcowy wcielały w życie to, jak walczyć z epidemią chcieli wirusolodzy i epidemiolodzy. Dysponując zaś aparatem totalitarnego państwa zrobiły to perfekcyjnie, zmuszając całe społeczeństwo do ślepego wypełniania naukowych zaleceń. Nie utrudniało tego istnienie jakichkolwiek „bezpieczników”, takich jak: wybierany w demokratycznych wyborach parlament, niezależne sądy, media wolne od cenzury, wreszcie zróżnicowana opinia publiczna. W Europie dzięki owym „bezpiecznikom” rządzący wcześniej lub później musieli zacząć brać pod uwagę rosnące z powodu obostrzeń niezadowolenie społeczne oraz wsłuchiwać się w głosy przedstawicieli innych dziedzin wiedzy naukowej.

Na przebieg epidemii wpływ miał bowiem nie tylko sam **koronawirus** oraz dekretowane przez rządy zakazy, ale też zachowywanie się zbiorowości. Już po kilku miesiącach mocniej niż strach przez chorobą poczynaniami ludzi rządziły czynniki: socjologiczne, psychologiczne i ekonomiczne. W końcu rządy musiały łagodzić restrykcje, żeby unikać otwartego buntu. Nota bene w momentach, gdy frustracja społeczna sięgała zenitu i tłumy wychodziły na ulice, koronawirus mógł się szerzyć o wiele swobodniej, niż gdyby nie wprowadzano generującego bunt lockdownu.

Dzięki wspominanym „bezpiecznikom” i różnorodnym dziedzinom wiedzy udawało się jakoś korygować najbardziej szkodliwe poczynania rządów, zafiksowanych przede wszystkim na tym, by za wszelką cenę ograniczać rozprzestrzenianie się patogenu.

Tak oto po przechorowaniu i masowych szczepieniach od roku w Europie mamy już za sobą wszystko to, co najgorsze w związku z epidemią. Natomiast Chińczycy będą musieli ją dopiero przejść.

Niestety w naszych czasach królują bardzo wąskie specjalizacje. Przyjęto bowiem za pewnik, że łączenie w jedno jak największej liczby dziedzin naukowych było możliwe w czasach renesansu. Leonardo da Vinci potrafił ogarniać całość, bo zasób ówczesnej wiedzy nie przytłaczał swym ogromem. Dziś żaden człowiek nie ma szansy na osiągnięcie podobnej uniwersalność. Rządzący idą zatem na łatwiznę i podejmując decyzje, biorą pod uwagę wąskie wycinki wiedzy. Najlepiej te, które z różnych politycznych względów najbardziej im pasują.

Polityka klimatyczna UE

Tak działa polityka unijna w odniesieniu do **globalnego ocieplenia**. **Statystyki i badania klimatologów** pokazują, iż nabrało ono tempa. Wiedza na czym polega efekt cieplarniany jasno wskazuje, iż odpowiada za nie rosnące w atmosferze ziemskiej stężenie dwutlenku węgla oraz metanu. Najprostszą odpowiedzią na zagrożenie jest gwałtowana redukcja emisji obu gazów cieplarnianych, za sprawą przebudowania funkcjonowania całego społeczeństwa. Takie rozwiązanie prezentuje się równie prosto i przekonująco jak chińskie „zero COVID”. Czyli wszyscy spędzą w zamknięciu tyle, ile będzie trzeba, każdy dostatnie konieczną liczbę szczepień, a gdy koronawirus znajdzie się wreszcie pod kontrolą rządu i wirusologów, wyjdą na wolność, by żyć długo, zdrowo oraz szczęśliwie. Przy okazji świadcząc o potędze Państwa Środka. Jak się ma realne życie do teorii opartej na wąskiej dziedzinie wiedzy właśnie widzimy.

Teoria transformacji społeczno-energetycznej Unii Europejskiej wygląda jeszcze piękniej. Społeczeństwa krajów członkowskich będą musiały ograniczyć swe potrzeby, ponosić koszty drogiej energii, zredukować liczbę podróży, jeść mięso od święta lub w ogóle, a przede wszystkim zacisnąć pasa. Dzięki temu w dwie

dekady zniknie wszystko, co emituje dwutlenek węgla (oraz metan, jeśli szczęście dopisz), a Stary Kontynent będą mógł się cieszyć energią z OZE, ekologicznego wodoru i ewentualnie reaktorów jądrowych (jeśli uda się okiełznać niemieckie fobie na ich tle).

To uniezależnienie się od paliw kopalnych wzmocni pozycję Unii w świecie. Zaś „cła węglowe" nakładane na te towary spoza UE, przy których wytworzeniu nastąpiła emisja CO2, nakłonią producentów z: USA, Chiny i Indii do naśladowania polityki klimatycznej Unii. Inaczej zostaną odcięci od europejskiego rynku zbytu. Po czym w połowie stulecie globalne ocieplenie się zatrzyma, a mieszkańcy Europy za sprawą przebudowania społeczeństw, żyć będą długo, zdrowo oraz szczęśliwie.

Tyle teorii powstałej w Brukseli z połączenia zaleceń klimatologów z mocarstwowymi ambicjami i tamtejszych urzędników. Bo to oni opracowywali plany kolejnych kroków w stronę redukowania emisji gazów cieplarnianych i przebudowy energetycznej Starego Kontynentu aż po **Fit For 55**. Po czym akceptowała je Rada Europejska. Owe plany stworzono bez baczenia na ogromne zagrożenia, widoczne jeśli spojrzy się na całą rzecz przez pryzmat: ekonomii, socjologii, psychologii i wielu innych dziedzin wiedzy, aż po realne możliwości technologiczne. Takie spojrzenia generuje bowiem mnóstwo pytań. Każe z nich można zacząć od słów – „a co jeśli". Przejdźmy zatem do małej wyliczanki.

A co, jeśli…

A co, jeśli droga energia sprawi, że cały przemysł masowo wyniesie się poza granice UE i pauperyzacja społeczeństw gwałtownie przyśpieszy, przynosząc wybuch wielkich buntów i niepokojów (płonące samochody i galerie handlowe emitują sporo CO2). A co jeśli na cła węglowe **USA i Chiny** odpowiedzą czymś, co kiedyś nazywano „cłami bojowymi" i będą nimi tak długo tłuc w kluczowe produkty z Europy, aż Stary Kontynent stanie przed

wyborem – głęboki kryzys ekonomiczny lub kapitulacja.

A co, jeśli nie uda się zbudować wielkich magazynów energii i ta uzyskana z **OZE** nie będzie wstanie pokrywać zapotrzebowania na prąd Starego Kontynentu. A co jeśli ekologiczny wodór nie spełni pokładanych w nim nadziei, bo jest to wyjątkowo trudny w magazynowaniu i przesyłaniu pierwiastek. A co, jeśli pozbawieni możliwości kupna nowych aut (te elektryczne są dziś przeciętnie dwa razy droższe niż z silnikiem spalinowym), podróżowania, pespektywy na tanie mieszkanie, lepsze życie, masowo biedniejący mieszkańcy krajów UE zaczną zmieniać preferencja wyborcze. Aż postanowią głosować na tych, którzy – jak niegdyś **Mussolini czy Hitler** – obiecają im obalenie starych porządków.

Takie pytania można mnożyć w nieskończoność. Jednak niewiele obchodzą one członków Komisji Europejskiej czy brukselskich urzędników, bo przecież to nie wyborcy decydują o ich karierach i dochodach. Również przywódcy kluczowych krajów UE (a zwłaszcza Niemiec) zdają się na nie impregnowani i są wciąż gotowi trzymać się obecnej strategii na przekór zdrowemu rozsądkowi.

Na szczęście w krajach UE nadal jest dość lokalnych „bezpieczników", które podobnie jak w czasach pandemii zaczną wymuszać korekty. Zapewne znów doświadczymy schematu sprowadzającego się do próby wymuszania zmian na siłę, wielkiej nagonki na ostrzegających przed popełnianymi błędami, następnie tężenia oporu niezależnych instytucji i społeczeństw. Aż po moment, gdy rządzący zgodzą się korygować plany tak, by choć trochę przystawały do skomplikowanej rzeczywistości. Tyle tylko, że z „zero COVID" można się wycofać po cichu, po czym uodpornione na wirus społeczeństwo wraca do normalnego życia. Natomiast w przypadku polityki klimatycznej taki luksus może okazać się niemożliwy.

Przed takim niebezpieczeństwem ostrzegają łatwe do dostrzeżenia zależności. Wedle danych Eurostatu w 2019 r.

kraje UE odpowiadały za 9 proc. światowej emisji CO2, China za 27 proc., Rosja 12 proc., USA 8 proc.

Pomimo olbrzymich wysiłków Unii rok temu w skali świata wyemitowano o 6 proc. więcej dwutlenku węgla. Jednocześnie klimatolodzy właściwie nie dają już żadnych nadziei na zahamowanie globalnego ocieplenia. **Cudu nie będzie**. Ono trwa i przyniesie ogromne zmiany, włącznie z wojnami, wielkimi migracjami mieszkańców biednych krajów i pogodowymi anomaliami. Po zburzeniu stanu równowagi (a to już nastąpiło) gigantyczne przemiany są nieuniknione.

Unia niczym żaglowiec wpływający w sztorm

Tymczasem za sprawą swej polityki klimatycznej kraje Unii wejdą w nie niczym żaglowiec wpływający w sztorm, na którym kapitan się upił, żagli nie zabezpieczono, a załodze kazano zająć się szorowaniem pokładu. Żegnająca się z własnym przemysłem Europa, wstrząsana konfliktami społecznymi i politycznymi, nasilającymi się z powodu ubożenia jej obywateli, będzie coraz mniej zdolna do stawienia czoła niebezpieczeństwom. Zupełnie odwrotnie niż USA, czy Chiny, gdzie już wyraźnie na pierwszy miejscu stawia się przygotowania do sztormu, a dopiero potem redukowanie emisji gazów cieplarnianych. I raczej nie będzie pocieszeniem dla mieszkańców Starego Kontynentu, iż **idą na dno** w imię dobra całej ludzkości.`

Źródło

Europa się przeliczyła

Kryzys energetyczny w krajach zachodnich, wzrost gospodarczy Chin, błędne decyzje Brukseli i świata zachodniego, nasilenie konkurencji gospodarczej między USA a UE, a także relacje między zachodnimi i chińskimi centrami świata. O tych światowych trendach i problemach – rozmowa z Michaiłem Kowaliowem, doktorem nauk fizycznych i matematycznych, profesorem Wydziału Ekonomii Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego.

Podaż ropy i gazu do UE maleje. Do czego może to ostatecznie doprowadzić?

– Rzeczywiście, znaczna część energii zużywanej przez Unię Europejską pochodziła z Rosji, ich stosunkowo niska cena wynikała ze sposobu dostaw – przez rurociągi. Polityka sankcji zmniejszyła napływ węglowodorów i ich cena gwałtownie wzrosła. Niemożliwe jest znalezienie kompensującego w pełni te straty dostawcę zamiast Rosji. Ponadto Niemcy nie mają jeszcze miejsc do cumowania, aby przyjmować skroplony gaz LNG, będą musiały dużo oszczędzać, a energochłonne gałęzie przemysłu już się zamykają, nie wytrzymując wysokich cen i konkurencji z chińskimi towarami. Chiny, podobnie jak Indie, wykorzystują sytuację i otrzymują rosyjską energię ze zniżką. Oczywiste jest, że ich towary stały się tańsze. Niemcy postawili na Nord Stream 2. Ale został wysadzony w powietrze. Kto to zrobił, nie wiadomo, jedno jest pewne, że jest to korzystne wyłącznie dla Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego Bruksela, Pana zdaniem, wybrała ścieżkę sankcji?

– Myślę, że Europejczycy zaakceptowali sankcje emocjonalnie i nie myśleli zbyt wiele o konsekwencjach. W rezultacie widzimy, że ograniczenia energetyczne szkodzą im bardziej niż Rosji. Stany Zjednoczone jako pierwsze porzuciły rosyjską ropę, ale łatwo było im to zrobić, ponieważ kupowały niewielkie ilości. W dzisiejszej UE nie ma silnego przywódcy jak Merkel, więc się przeliczyli.

Wydaje się, że celem Waszyngtonu jest deindustrializacja Europy, droga do jej osłabienia gospodarczego i jeszcze większego podporządkowania. Świadczą o tym trendy w dziedzinie energetyki. Na początku był zielony ład, który przerodził się w stały pomysł dla UE: poszli ścieżką eliminacji tradycyjnej energii we własnym kraju (tylko w Niemczech z 25 elektrowni jądrowych pozostały trzy). Ostatecznie okazało się, że zielone technologie nie są tak praktyczne.

– UE przeceniła znaczenie źródeł odnawialnych i są one niewiarygodne. Czasami nie ma wiatru, czasem słońce nie grzeje. Niebezpieczeństwa związane z energią jądrową były przesadzone. Francja ma wystarczająco dużo elektrowni jądrowych i teraz śmieje się ze swojego odwiecznego rywala Niemiec. Nie sądzę, aby USA naprawdę chciały zdeindustrializować UE. Sami przywieźli swoje fabryki do Chin. Chcą je z powrotem u siebie, ale to nie działa. Główną konkurencją dla Amerykanów nie jest dziś UE, która już teraz gwałtownie traci na znaczeniu (w 2000 roku jej udział w światowej gospodarce wynosił 20,3%, a dziś tylko 14,9% to dane MFW). Świat podzielił się na dwa bloki: amerykański i chiński, w skład którego wchodziło 139 krajów inicjatywy „Jeden pas, jedna droga”. W przyszłości, nawet według zachodnich prognoz, chiński biegun będzie silniejszy, więc kolektywny Zachód zachowuje się tak konwulsyjnie – nikt nie chce oddać prymatu.

Centrum analityczne w Brugii (Belgia) oszacowało, że rządy UE przeznaczyły prawie 500 mld euro na wsparcie obywateli i przedsiębiorstw w obliczu gwałtownego wzrostu cen gazu i energii elektrycznej. Czy uważa Pan, że kwota ta wystarczy,

aby przezwyciężyć obecny kryzys?

– UE jest wciąż wystarczająco bogata, aby pomóc płacić za energię swoim obywatelom, chociaż jak dotąd ratują oni własne firmy energetyczne przed bankructwem tymi pieniędzmi, a wtedy konieczne będzie uratowanie energochłonnych gałęzi przemysłu, a jeśli obywatele będą protestować na ulicy, będą musieli coś im dać. Krótko mówiąc, UE stoi w obliczu dwóch trudnych zim i wierzę, że więcej niż jeden rząd poda się do dymisji po tym, jak nie radzi sobie z problemami społeczno-gospodarczymi. Natomiast Białoruś skutecznie poradziła sobie z obecnymi wyzwaniami gospodarczymi, szybko restrukturyzując przepływy towarowe i tworząc nową logistykę.

Źródło

Czy OPEC jest prorosyjski?

OPEC+ obniżył kwoty wydobycia, ceny ropy poszły w górę. W Waszyngtonie uznano to za działanie pro-rosyjskie, zagrożono retorsjami. A przecież dyplomacja amerykańska usilnie pracowała, żeby skłonić Saudów do uderzenia w Rosję. Przekonywano kraje Zatoki, że „musicie wybrać"… No i wybrali.

A gdy już wybrali, to z Waszyngtonu prosili: odłóżcie choćby o miesiąc. Nie odłożyli. A tu wybory… ceny benzyny rosną, szanse na zwycięstwo wyborcze rządzących Demokratów rozpływają się jak śnieg na wiosnę. Dlaczego Saudowie i eksporterzy ropy

ryzykują gniew Hegemona? Z miłości do Rosji? Ależ skąd…

Świat producentów ropy nie odwrócił się od Rosji, wręcz przeciwnie. Najważniejsza postać w kartelu, **Haitham al-Ghais**, stwierdził publicznie: „OPEC nie konkuruje z Rosją, to wielki i bardzo wpływowy światowy gracz”. Rzeczywiście, mało kto jest świadom tego, że Rosja jest największym światowym eksporterem netto. Jeśli zsumować ropę i produkty sprzedaje 401 milionów ton rocznie, gdy Arabia Saudyjska – 365 mln.

Po pierwsze w USA starają się postawić księcia **Mohammeda bin Salmana** przed sądem za potworną śmierć, jaką zgotował swemu wrogowi – **Jamalowi Khashoggi**, dziennikarzowi amerykańskiej Washington Post. Został on zamordowany i pocięty piłą na kawałki w ambasadzie saudyjskiej w Turcji. Tego mu liberalne kręgi nie wybaczą do końca jego dni. Ale książę został ostatnio premierem, a tego obejmuje immunitet państwowy, więc nie może być postawiony przed sądem innego państwa. Ale teraz cywilne oskarżenie rozpatruje amerykański sędzia, który ma zdecydować, czy księciu grożą kajdanki i pomarańczowy garniturek osadzonego w więzieniu. Dzisiaj sprawa jest przekładana i przeciągana, ale ten miecz Damoklesa wisi nad głową następcy tronu Saudów.

Jest jeszcze jeden poważny problem w relacjach Waszyngtonu i Rijadu. To roszczenia kilku tysięcy osób, rodzin amerykańskich ofiar ataku 11 września 2001 roku, które chcą od Saudów miliardów dolarów odszkodowań. Przykład Iranu, któremu nakazano zapłacić ponad 7 miliardów dolarów (plus odsetki), nawet gdy związki tego państwa z terrorystami były żadne. W przypadku Arabii Saudyjskiej aż 15 z 19 uczestników zamachów 9/11 było jej obywatelami.

Amerykańskie państwo przyjęło w 2016 r. ustawę, uchylającą zasady prawa międzynarodowego, i ich sądy w tej sprawie mogą sądzić inne państwa. Sprawa wciąż się toczy, Ameryka ma bowiem imperialny zwyczaj finansowego wykorzystywania każdego nieszczęścia, i to w kwotach, od których nam po prostu urywa

głowę.

Ale nie tylko o immunitet księcia i tak drobne pieniądze tutaj chodzi. **Janet Yellen,** szefowa amerykańskiego Departamentu Handlu, oceniła decyzję OPEC+: „ani pomocna, ani mądra”. I rzeczywiście może się czuć zawiedziona, bowiem rozgrywka idzie o coś znacznie większego, niż przypiekanie Saudów na amerykańskim ruszcie sądowym. Chodzi o przejęcie kontroli nad światowymi cenami ropy, o tzw. „pułap cenowy”.

Ameryka chce poskromić apetyty i przykrócić potęgę eksporterów ropy. Teraz, gdy wraz z sąsiadami jest samowystarczalna (kontynent północnoamerykański – wydobycie 1,2 mld ton, zużycie 1,1 mld ton ropy rocznie) przystąpiła do montowania światowego bloku, mającego kontrolować ceny ropy. Mówi się o Rosji, że to jej ma dotyczyć ta zmowa cenowa nabywców, ale taki kartel to narzędzie, które można zastosować do każdego. Saudowie wprost mówią, że uważają to za bezpośredni atak na państwa – producentów ropy naftowej. A skuteczne przetestowanie na największym eksporterze, pozwoli wziąć pod obcasy wszystkich innych: albo jesteś politycznie z nami i wtedy możesz sprzedawać drogo, albo jesteś pariasem i dostaniesz za ropę tyle, ile my zechcemy.

Pytanie, jak ta gra się zakończy. Bo o ile inicjator, pomysłodawca i popychający ten pomysł Waszyngton odkłada decyzję na okres powyborczy (wiedzą doskonale, że może to się zakończyć potężnym skokiem cen ropy), to Bruksela znowu rusza do boju jako pierwsza. Właśnie ustalono w ósmym pakiecie sankcji przeciwko Rosji, że wprowadzone zostanie „maksymalny pułap cenowy” dla zakupów rosyjskiej ropy.

Ciężkie zadanie bierze sobie Bruksela na barki… Czy to będzie ta słomka, co łamie grzbiet wielbłądowi? I pytanie: rosyjskiemu czy europejskiemu?

Andrzej Szczęśniak